

# TERPSION

---

PLATON\*

Osoby dialogu:

TERPSION

EPIGANES

SOKRATES

KTEZIPPOS

MENEKSENOS

EUKLIDES

ERYKSIMACHOS

– Epiganesie! I ty tutaj?

– Witaj, drogi Terpsionie. Ano tutaj, czemu tak się dziwisz?

– Bo właśnie idę z nisajskiego portu, gdzie dopiero co żegnałem naszych przyjaciół. Pewnie, jak oni, przybywasz spotkać się z Sokratesem.

– A prawda. Odkąd wieść w naszych kręgach się rozeszła, szukałem sposobności, by stanąć w Megarze.

– Zechciej mi towarzyszyć, bo i ja się do Megary spieszę. Sprawę mam do załatwienia, zanim wrócę na wieś.

– A chętnie, bo przy okazji wypytam cię o to i owo. Tylko proszę, Terpsionie, nie idźmy zbyt szybko, bo jużem strudzony.

– Pójdziemy spokojnie, a i przysiąść możemy po drodze. Proponuję iść wzdłuż murów, co do miasta wiodą, bo cień się tu jeszcze kładzie i ruch trochę mniejszy. Dziś Nisaja w szwach pęka, bo statki z towarem doczekały pomyślnych wiatrów i licznie cumują. A na rynku w Megarze zapewne znajdziemy Euklidesa, to się z nim zabierzesz. Bo pewnie ci wiadomo, że Sokrates w jego domu gości.

– Inaczej bym się, Terpsionie, nigdzie nie wybierał. Tymczasem powiedz przecie, z naszych przyjaciół kto tu był z wizytą. I zdradź choć trochę z tego, jak to wyglądało.

– O, znasz wszystkich, aż dziw bierze, że nie przybyliście razem. Tak więc był Ajschines, no i Antystenes. Nie zabrakło Platona, który nawet postanowił, że osiadzie tu na dłużej. Był też Eryksimachos, który nad zdrowiem Sokratesa czuwał, bo po całej przygodzie miał z trawieniem kłopoty. Byli jeszcze Kriton i Apollodoros; ci bardzo się wzruszyli, tak że Sokrates znowu ich strofował, że to nie przystoi, ale tym razem żartem, jak to on potrafi.

– A kto więcej, powiadaj.

– Był i Fedon, ciągle jeszcze nadąsany. Miał żal, żeśmy go w porwanie Sokratesa nie wtajemniczyli, bo zanim następnego dnia sprawa się wydała, on już zdążył włosy ściąć na znak żałoby. Dopiero mu Sokrates humor poprawił, kiedy z rozczuleniem głowę jego pogłaskał i powiedział:

– Tyś, przyjacielu, szczerze mnie pożegnał.

Spojrzał potem na starego Kritona, na Apollodora i Ajschinesa, którzy też o spisku nie mieli pojęcia, westchnął i dodał:

– Oto ci, co umieli wolę mą uszanować.

Trzeba ci wiedzieć, że czasem robi przytyki pozostałym, bo i nie jest pogodzony z tym, cośmy mu zgotowali.

– O tej znowie, Terpsionie, rad bym coś więcej usłyszeć, ale póki co dokończ, proszę.

– No, to ci dopowiem; gdy ścisnął Ajschinesa, podziękował mu za to, że ten się zaopiekował Ksantypą i dziećmi. Zaraz puścił oko do reszty i rzekł niby to poważnie:

– Oto przykładowy uczeń.

– A skąd ta pochwała? – zdziwił się tamten, a Sokrates na to:

– Czyż nie jest najlepszym uczniem taki, który potrafi zastąpić nauczyciela na jego miejscu?

Roześmieli się serdecznie, szczególnie widząc, jak Sokrates formę odzyskuje. Platon tylko wzrok odwracał, bo sam o spisku wiedział i do ostatniej chwili spraw wszelkich pilnował. Nawet do więzienia nie przyszedł, wymawiając się chorobą.

– Ja co innego myślę; pewnie przeczuwał, że Sokrates, z którym się znają na wylot, rozpozna coś po jego zachowaniu. A czy był kto więcej wśród tych, co właśnie odpłynęli?

– To wszyscy, Epiganesie, ale wiem skądinąd, że się tu jeszcze wybierają Kebes wraz z Simiaszem. Przekazali, że niebawem w rodzinnych Tebach jakichś interesów będą doglądać; wtedy nadłożą nieco drogi i do Megary wstąpią. Myślą nakłaniać Sokratesa, by z nimi do Beocji ruszył. Może być, że się z nimi zaborą w tę stronę Hermogenes i Kritobulos, a chyba nawet Arystyp, chociaż go trudy podróży mocno zniechęcają; lubi swoje wygodę, znasz go przecież.

– Znam dobrze, jak zresztą innych, których wymieniłeś. Nie znam za to szczegółów całej waszej zmowy. Nie trzymaj mnie, Terpsionie, w tej niecierpliwości. Mów, jak to było, niech się w końcu dowiem.

– Euklides stał za wszystkim. Nie chciał zbyt wielu w sprawę wtajemniczać, nawet ja nie wiedziałem do ostatniej chwili. On to zaoferował swój dom na schronienie i zaplanował podróż. Jak pamiętasz, już nieraz przekradał się do Aten i wiedział, jak kordon straży granicznej ominąć. Łatwo zjedналиśmy sobie pachółka Kolegium Jedenastu; widziałeś, całym sercem był za Sokratesem. Kiedy więc Eryksimachos sporządził silny środek nasenny, nie było problemu, żeby podmienić miksturę. Sokrates tak mocno usnął, że na martwego wyglądał.

– Dałbym głowę, że tak się stało. Przecież nawet Kriton, który mu usta i oczy domknął, niczego nie zauważył. A zaraz po tym dozorca wszystkich wyprosił, mówiąc, że nic tu po nas, że resztą się zajmie, i przygotowaniem i wydaniem ciała rodzinie.

– To może pamiętasz, że jak wyszliśmy, przy bramie stał wóz pełen zwiędłych kwiatów.

– Dalibóg, tak byłem przejęty, że nie zwróciłem uwagi. Zmierzchało, zegnaliśmy się ze łzami w oczach, Fedon łkał, Apollodoros szlochał... Rozeszliśmy się z myślą, że przyjdziemy następnego dnia, na wystawienie ciała w domu Sokratesa.

– Od planowania tego Platon w porę odwiódł Ksantypę, by jej zbędnego trudu i wydatków oszczędzić.

– O tym się przekonałem, gdym przyszedł ostatni hołd oddać Sokratesowi. Spodziewałem się go zobaczyć w przedsionku, leżącego na marach, z mirtem na tej mądrej głowie, pośród wieńców i wstążek... A tu drzwi zamknięte i sługa tylko grzecznie mnie odprawił... ale, wróc do tej nocy; co się dalej działo?

– Gdy każdy z was poszedł w swoją stronę, mnie poprosił Euklides, bym mu towarzyszył. Odprawiwszy sługi, chodziliśmy czas jakiś krętymi uliczkami, początkowo prawie milcząc. W głowie wciąż mi się kotłowało, serce gniotła udręka, gdy ten nagle zebrał się w sobie i rzekł poważnym tonem:

– Sokrates nie umarł.

Popatrzyłem na niego zaskoczony. Zrazu pomyślałem, że tak tylko powiedział, jako się o przyjaciółach mówi, że w sercu i pamięci żyją nadal. Szybko mi jednak wyjawiał jakiś spisek uknuto. Szliśmy tak jeszcze chwilę, aż znaleźliśmy się koło gmachu sądowego, skąd jak wiesz, blisko jest do więzienia. Noc zawisła nad nami. Po ulicach już mało kto chodził. Doszliśmy do więzienia, a tam obok wozu czekał już Meneksenos razem z Ktezipposem. Byli sami, bez sług. Wieńce na wozie rozgarniali, odsłaniając pod spodem umoszczone posłanie. Wkrótce dołączył Eryksimachos, niosąc torbę medykamentów. Euklides zapukał do bramy, dozorca nas wpuścił.

W celi leżał Sokrates, lnianym całunem okryty. Spał głęboko ledwie wątłym oddechem życie potwierdzając. Wynieśliśmy go ostrożnie i na wozie ułożyli. Ktezippos kwiecie nagarnął na zawinięte ciało, tylko głowę zostawiając odsłoniętą, na prośbę Eryksimacha, by kwiaty oddychania nie utrudniały. I tak ruszyliśmy powoli, gotowi w każdej chwili wieńcem głowę przykryć. Trzeba było jeszcze bramą za mury się wydostać, lecz tu się wcześniej człowiek Platona wokół sprawy zakręcił. Aby nie zwracać zbytnej uwagi ani całej grupy nie narażać, rozdzieliliśmy się. Euklides i Eryksimachos pojechali przodem, a my szliśmy ich śladem. Odległość między nami rosła, ale byliśmy umówieni, gdzie znów się spotkamy.

– A to dopiero historia. W sam raz dla Ajschylosa; mógłby sztukę napisać. Co też, Terpsionie drogi, było potem, powiadaj?

– Na skraju miasta sługa Platona czekał z drugim wozem. Wsiedliśmy i ruszyli razem do Megary. Euklidesa już dawno straciliśmy z oczu. Jechaliśmy zwykłą drogą, Meneksenos milczał, lecz twarz miał pogodną, za to Ktezippos kiwał się zmęczony, sapiąc ciężko, jakby go worek kamieni przydusił. We mnie się radość ze strachem mieszała. Kiedy dotarliśmy do granicy, serca nam żywiej ruszyły, ale straż bez gadania nas przepuściła. Euklides najpewniej swoim sposobem straż graniczną przechytrył. Nie wiem, jak i którą drogą jechał, a tyle się działo, że później nawet o to nie zapytałem.

Pod Megarą stanęliśmy, jak jeszcze noc była. Tu już sam wiedziałem, jak strażę przekonać, by do miasta się dostać i szybko trafiliśmy pod dom Euklidesa. Odzwierny czuwał zaspany, wpuścił nas do środka i wskazał do której komnaty mamy się udać. Ktezippos i Meneksenos niecierpliwie pognali naprzód. Ja zaś spokój taki poczułem w sobie i taką ulgę, że chętnie bym na dziedzińcu przysiadł, bogom dziękował i cieszył się ze szczęśliwie przeżytej przygody. Ciekawość jednak we mnie zwyciężyła, więc pokłoniłem się Zeusowi i poszedłem w ślad za przyjaciółmi.

– Ale miarkuję, że Euklides i Eryksimachos już tam z Sokratesem czekali.

– Kiedy wszedłem, w półmroku zastałem kilka osób. Lampa oliwna ledwo co błyskała. W migotliwym świetle rozpoznałem sylwetki Meneksenosa i Ktezipposa. Już się rozsiedli na sofach. W rogu, przy drzwiach stał sługa Euklidesa, a w głębi majaczyła drobna postura lekarza. Siedział pochylony. Na łóżku leżał Sokrates, pachniał jeszcze zwiędłym kwieciem, pod którym go przewożono.

– Eryksimachu, co z nim? – zapytałem szeptem.

– Śpi jeszcze, ale oddech ma już wyraźniejszy. Będzie dobrze.

Czekaliśmy i niedługo wybudzać się zaczął. Wtedy Eryksimachos skinął na sługę, ten zaś pośpiesznie wyszedł z izby. Rychło wrócił, coś przyniósł i ponownie zniknął. Sokrates nieporadnie próbował się podnieść. A że umysł miał zamroczony i światła było niewiele, myślał, że ciągle w więzieniu przebywa.

– Czy drugi raz mam wypić? – spytał niewyraźnie.

Pamiętasz Epiganesie, było mówione, że czasem jeden kielich cykuty nie wystarcza, kiedy kto zbyt pobudzony był przed jej wypiciem. Podniósł się chwiejnie, oparł na łokciu i widać po nim było wielkie osłabienie.

– To wypij, Sokratesie – wyszeptał Eryksimachos i podał mu kubek z napojem. Sokrates zamknął oczy i powiedział:

– Niech się to dopełni. – Wziął pierwszy łyk i znieruchomiał. – Rosół? – zdziwił się.

– To na wzmocnienie. Pij, proszę.

Sokrates zaczął mrugać powiekami, rozglądać się wokół i szukać dla oczu czegoś znajomego. Jął wachać himation, który miał na sobie, to znów po twarzach wzrokiem wodzić. Eryksimachos podsunął mu pod usta jego dłoń z kubkiem, żeby pić nie przestawał. Sokrates, wyraźnie jeszcze pogubiony, jakby na czas zbierania myśli, pił ciepły wywar i chwiały się lekko na brzegu łóżka.

– Liczę, że to nie z koguta, któregom Asklepiosowi winien.

Ktezippos parsknął śmiechem, a i inni z cicha się zaśmiali.

– Co za szczęście! – ucieszył się Meneksenos. – Wróciłeś do nas, Sokratesie i nie zapomniałeś humoru zabrać ze sobą.

– Skądże mi to, że rosół piję w jakimś obcym miejscu? Gdzie jestem, bo jak mniemam, jeszcze nie w Hadesie?

Meneksenos się zmieszał, zamilkł i nawet w mroku szło poznać, że się zaczerwienił. Wtedy Eryksimachos znów kubka dotknął, by do picia zachęcić i powoli wyjaśnił:

– Już ci za porządkiem odpowiadam, Sokratesie miły. Rosół zgoła z innego ptaka przyrządzono i chociaż nie z tak dobrego chowu, jak na Delos, to zapewniam, że lepszej kury w Megarze nie było. A w tych stronach jesteśmy – ciągnął mrukliwie – w domu Euklidesa. Czas jakiś tu spędzimy, a gdy bogowie pozwolą, ruszemy w dalszą drogę. Najpewniej do Beocji; sam o niej mówiłeś. A Simiasz i Kebes z radością w Tebach cię ugoszczą...

Urwał, widząc, że Sokratesowi opadły ramiona. Jakby go bezsilność nagła owładnęła. I jakby tylko resztką sił palce na kubku zaciskał.

– Więc to tak – westchnął. – Biada mi, kiedy mam takich przyjaciół.

Milczenie zapadło i niektórzy głowy pospuszczali. Prawie żeśmy to z góry wiedzieli, że on się nie ucieszy, a jednak jakoś nas to przybiło. Wolelibyśmy świętować udaną ucieczkę, ale teraz nikt by nie śmiał posłać po dzban i puchary. Wtedy do izby wszedł Euklides z tym sługą, który wcześniej wybiegł. Chłopak wniósł więcej światła i zaraz twarze wszystkich wyraźniej się pokazały. Euklides wzruszony przypadł do łóżka i zobaczył nietęgą minę Sokratesa.

– Jak się czujesz, Sokratesie drogi?

– I ty też, Euklidesie? – odparł gorzkim pytaniem i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych dokoła. – Niechże mi któryś powie, co się wydarzyło.

– Zapewniam, wszystko zaraz tobie przedstawimy, ale wpierw powiedz, czy ci czego trzeba. Może masz ochotę podróż zmyć z siebie? Kąpiel kazałem przygotować.

Sokrates sapnął sobie, nogi spuścił z łóżka na ziemię, dopił rosół i oddał kubek chłopakowi. Spojrzał na nas, powąchał znów wierzchnie okrycie i wskazując na nie, spytał:

– To mi też wyjaśnicie? Dalibóg. Ale najpierw, niech będzie Euklidesie, skorzystam z kąpeli. Może mnie otrzeźwi. I spytaj tam kogo, czy aby jeszcze trochę zostało rosółu.

Zanim wrócił noc zbladła. Każdy z nas pólężąco drzemał i odpoczywał. Dołączył do nas Euklides, już tylko w czystym chitonie i zajął sofę obok łóżka Sokratesa. Świt coraz śmieiej rozpraszał ciemności. Euklides przywołał chłopaka, coś mu szepnął, ten zaraz lampy pogasił, a gdy z przyniesionymi wychodził, w drzwiach minął go Sokrates. Wykąpany, pachnący, w czystym himationie. W ruchach jakby sprawniejszy. Chciałoby się, by jeszcze w tak dobrym humorze, jak to zwykle u niego. Ale twarz miał poważną, oczy zasmucone.

– Bogactwo krępuje duszę, a długa szata ciało – Przysiadł na łóżku i potrząsnął barkiem, by płótno lepiej się ułożyło. – Wolałbym swój zgrzebny tribon, bo krótszy i wygodniejszy. Euklides odświeżnie mnie odział, lecz jak mi się zdaje, nie ma czego świętować. Doprawdy, mimo waszych starań i tak dzisiaj jest dzień żałoby.

– Gniewasz się, Sokratesie – rzekł Ktezippos – a my przecie to wszystko ze szczerego serca...

– Wierz mi, że szczerowość cenię, bo to siostra prawdy. Dlatego chętnie się dowiem, com tej nocy przespał.

Wtenczas, Epiganesie, jeśliśmy opowiadać, to o czym chwilę temu sam tobie mówiłem. Raz wspominał Euklides, raz ja i Ktezippos. To znów Meneksenos dodał coś od siebie. Tylko Eryksimachos siedział jak niemowa. Tak to każdy dorzucał kamyczek od siebie, aż się z tego mozaika cała ułożyła.

– Czyli większość, co przyszła ze mną się pożegnać, o niczym jeszcze nie wie – upewniał się Sokrates.

– Tak było bezpieczniej – odparł Euklides. – Po cichu liczyłem, że sam zmienisz zdanie. Wiedzieliśmy, że Kriton do ostatka będzie cię do ucieczki nakłaniał. I tę rzecz jemu zostawiliśmy, nic przy tym o naszym spisku nie mówiąc. Gdybyś uległ namowom, wówczas przedsięwzięcie trochę inaczej by wyszło i pewnie pozostali od razu by się dowiedzieli. Jakkolwiek by się sprawy nie potoczyły, ciągle mieliśmy za sobą tego poczciwca z Kolegium Jedenastu, który ci kielich szykował i któregoś tak ciepłymi słowami wychwalał. A ponieważ obstawałeś przy swoim, konieczny był fortel.

– Eryksimachu, cóżeś mi wtedy przyrządził? – Sokrates wyrwał z odrętwienia milczącego lekarza. Ten stęknął i przetaił twarz dłonią z góry na dół, aż po koniec brody.

– O, na Asklepiosie, to we właściwych częściach zmieszane składniki. Jedne mi ojciec pokazał, inne sam poznałem. Nieraz je stosowałem – mówił okrężną drogą – gdy kogo cię należało lub chory długotrwałym bólem był złamany. Wszelako przepis na

gotową mieszankę udoskonalili bodaj Hipokrates, który i w Atenach gościł, gdy po świecie za wiedzą jeździł...

– A powiesz wreszcie, mój drogi medyku, com takiego wypił?

Na te słowa Eryksimachos spał się nieco. Wyprostował drobną, zmarniałą sylwetkę, nabrał tchu, jakby miał zaraz Empedoklesa cytować, po czym swoim zwyczajem wycedził przez zęby:

– Była to egipska mandragora, którą już Homer w Odysei wspomniął, był lulek, który w nadmiarze zwidy wywołuje, było i opium z maku, które wiązać lubimy z Morfeuszem, a do tego stosowna doza cykuty. Można więc powiedzieć, żeś Sokratesie wcale jej nie uniknął.

– Wiem tedy, jak smakuje twoja anestezja. I jaki smak posiada knowanie przyjaciół. Czym sobie zasłużyłem, że bogowie takich mi przeznaczili?

Wiedziałem, że on to tak mówi zaczepnie, ale Meneksenos chyba się nie pomiarkował i wystrzelił:

– Na Zeusa, co też mówisz, drogi Sokratesie, przecież żyjesz i jesteś tu, w gronie przyjaciół.

– Poczciwy Meneksenosie, czy zwałbyś przyjacielem kogoś, kto by twojej woli nie uszanował?

– Gdybym pojął, że zrobił to dla mego dobra albo dla jakiegoś większego w ogóle, albo ze szczerzej przyjaźni do mnie, a nie ze złej woli, to byłby mi nadal wiernym przyjacielem. I jeśli znam tu obecnych, a tak mi się zdaje, że znam całkiem dobrze, to żaden nie chciał ani twojej krzywdy, ani utraty twego zaufania. Wszyscyśmy cię pokochali, jak ojca i brata. Więc kiedy twój proces przyniósł wyrok tak niesprawiedliwy, a tyś się z nim zupełnie niesłusznie pogodził, musieliśmy coś zrobić. Musieliśmy cię ratować, ale i ukochanej przez ciebie sprawiedliwości uczynić zadość.

– Ciężki rydwan tu postawiłeś, mój Meneksenosie. Chętnie sprawdzę, czy znajdziesz dosyć silne konie.

– Widzę, że chcesz serdeczną rozmowę zamienić w dysputę, a nam tu radość z żalem się miesza i burzy spokój w sercach – mówił tonem skargi i z każdym słowem smutniał.

– Jakże to wyłożyć na twój sposób, kiedy w jakiegokolwiek słowa trudno mi to ubrać. Masz żal, żeśmy nie dopuścili, aby cię otruto. To ja ci wyznam, com sobie pomyślał, zresztą zapewne nie ja jeden. Przekonywałeś nas w ostatnich słowach, że człowiekowi się nie godzi przerwać swego życia, chyba że byłaby konieczność wskazana przez bogów. Tymczasem zdecydowałeś się ponieść śmierć niesprawiedliwą, niepotrzebną, niekonieczną, w niczym niepożyteczną i najpewniej wcale nie oczekiwaną przez sprawiedliwych bogów. Skoro postanowiłeś wypić cykutę, zamiast życie ratować, to prawie tak, jakbyś pod pędzący rydwan się rzucił, a przynajmniej jakbyś umyślnie z drogi mu nie zszedł.

Meneksenos ostatnie zdanie z taką goryczą powiedział, że aż mnie dreszcz przeszedł. Sokrates jednak nie wyglądał na przekonanego. Po minie poznałem, że już się sposobi do lotnej riposty, więc postanowiłem wesprzeć Meneksenosa.



– Sokratesie miły – zacząłem delikatnie. – Zapewne pamiętasz, jak mówiłeś nam o retorach, którzy w sądach nie prawdy dowodzą, a prawdopodobieństwa szukają, aby tylko sędziów przekonać, nie bacząc na sprawiedliwość.

– Przyznaję, Terpsionie, jakżebym miał nie pamiętać.

– Mówiłeś, że hańbą się okrywają w obliczu prawdy. Bo innym w oczy wciskają tylko widziadła jakieś w zakresie dobra i zła, w zakresie sprawiedliwości...

– I to ci przyznaję, ale dokąd zmierzasz?

– A czyż nie twierdziłeś, że sprawiedliwość bogom jest bliska, z boskiego świata pochodzi? Stamtąd, gdzie dusze ludzkie przebywają, oczekując ponownego zejścia na ziemię i gdzie poznają bliżej te inne szlachetne idee, jak dobro, prawda, piękno i sprawiedliwość właśnie. Czyż nie wynika z tego, że jeśli człowiek sprawiedliwość łamie, bogom się sprzeniewierza tak jak retorowie? A kto jej śladem podąża, bez wątpienia bogom jest miły. Nie godzi się, Sokratesie, ułatwiać tryumfu żadnej niesprawiedliwości. Ty zaś tak chciałeś postąpić, jakby ci na pełnej sprawiedliwości nie zależało. A przecież takowej ci Ateny poskaپیły.

– Bo też i pełna sprawiedliwość między ludźmi nie jest możliwa, a jedynie w tamtym świecie, gdzie bogowie i dusze dzielne bytują. Tu zaś przymuszeni jesteśmy z jej namiastek korzystać, ciesząc się, jeśli zdołamy czasem do owej doskonałej się zbliżyć.

– Sam powiedziałeś niedawno, że jeśli ludzie, którzy się do tworzenia prawa zabierają, z dobrem się rozminą, to i z prawem się minęli. Piękna to maksyma. Ja pochodzę z Megary, to i może na ateńskim rozumieniu prawa się nie znam, więc niech ktoś w razie błędu mnie poprawi. Czyż Ateńczycy, skazując cię na śmierć, nie rozminęli się z dobrem? Czyż wyrok, wedle twojej maksymy, nie jawi się bezprawiem? Czy nie przyznasz, że wypada bezprawiui przeciwdziałać, zamiast się mu poddać? To niemal święty obowiązek, gdy człowiek chce być prawym. Czy mogliśmy zlekceważyć taki nakaz?

– To pomyśl, Sokratesie – wtrącił się Meneksenos – bywa, że człowiek nie zdoła w pojedynkę o prawdę i sprawiedliwość walczyć. Czyż nie godzi się takiemu w słusznej sprawie pomóc? Wszak ujmy to nikomu nie przynosi, kiedy przyjaciele mu pomoc okażą. Czemu więc nas odtrącasz i wolisz za wrogów uważać?

Sokrates słuchał uważnie, po czym odparł, jakby z pewnym zmęczeniem:

– Wszystką powinność, jaką miałem wobec sprawiedliwości do spełnienia, bez zaniebdania żadnego wypełniłem. Com mógł zrobić, czy to broniąc się przed Radą Pięciuset, czy godząc się z jej wolą i wyrokiem, tom uczynił. Wam swoją decyzję dokładnie wyświetliłem. Resztę pozostawiłem w rękach bogów.

– Dopuść więc – rzekłem – że nasz spisek powiódł się właśnie z ich woli.

Sokrates wielkie oczy zrobił, jak on to miał nieraz zwyczaj, więc ciągnąłem:

– Patrząc na rzecz z tej strony, może nie tak było, żeś się na śmierć zgodził, jak na boską wolę, ale żeś nieumyślnie wbrew bogom postąpił. Co, jeśli to bogowie niepogodą tak opóźniali okręt Tezeusza, ażeby z pielgrzymki do Delos dopiero po miesiącu wrócił? Czyż to nie znak od bogów? Przez ten czas nie wolno było ci podać cykuty. Cały miesiąc dostałeś, by los swój odmienić. Niecodzienny podarek. I mnie się zdaje zupełnie

możliwym, że bogowie nie chcieli, aby się ten dar zmarnował. Nie mogąc się doczekać twojej decyzji, wpłynęli na naszą. Choć może się to komu wydać osobliwe...

– Widzę, drogi Terpsionie, że z Meneksenosem próbujecie mój zamęt w głowie wykorzystać i chcecie na swoich wnioskach postawić, nim zdołam jaśniej myśli poukładać. Mogłoby się wydawać – mówił wolno – że jest w tym sens jakiś; a jednak, dalipies, może sensu tam w ogóle nie ma. Nad tym się jeszcze kiedy trzeba zastanowić. Choć, ostatecznie, niezbyt mocno będę się o to spierał. Tymczasem patrzę na was i powiem, co sędzę, a potem się pokaże, czy przyznacie rację.

– Wiesz doskonale, że zawsze radzi cię słuchamy i gdy z rozważań coś nam dobitnie wychodzi, to nikt dla pustego uporu nie odmawia racji.

– To godne pochwały. Teraz jednak to, co w myślach mi się zbiera, nie wygląda na takie, co się wam spodoba. Wszyscy się żywo oddajecie filozofii, a kto idzie na służbę mądrości, ten bardziej dba o duszę, niż o względy ciała. Zatem wasze dusze powinna cechować czystość i gotowość obcowania po śmierci z ideami i bogami. I to powinniście traktować, jako cel najważniejszy. Dlatego należałoby się po was spodziewać, żeście na tyle rozumni, by nie tylko zaakceptować moje poddanie się wyrokom sądu, ale wręcz mnie na tym polu wspierać. Tymczasem sama myśl o bliskim rozstaniu tak was przytłoczyła, żeście postanowili, by mnie uprowadzić. Tym sposobem dopuściliście się zła, gdyż wbrew naukom odrzuciliście dobro, idące z mądrości i na przekór mojej woli postawiliście na pierwszym miejscu ratowanie mojego ciała.

– Ale jeśli już na czymś nam tu zależało, to i na tym, by dłużej obcować z twoją rozumną duszą.

– Niechajby tak było. A i tak wychodzi mi na to, że człowiek, w dodatku filozof, który z reguły, kierując się dzielnością duszy, panuje nad słabościami ciała, człowiek dbający o duszę i rozumiejący, dlaczego najważniejsze jest jej dobro, człowiek ten, gdy zostaje przyparty do muru, sprzeniewierza się tym wartościom. A że robi to nie z powodu żądź swego ciała, lecz po przemyśleniu wszystkiego w duchu, to najwidoczniej czyni to z pragnienia, czy potrzeby duszy. Może zatem w jej najgłębszym zakamarku kryje się dziwne samolubstwo, wada jakaś, czyli zło pewne, które w trudnej chwili ujawnia prawdę o człowieku.

– Co też mówisz, Sokratesie drogi? – poruszył się Euklides. – Czy uważasz nas za ludzi ze złymi duszami? Przykro słyszeć i trudno przyjmować te słowa. Wszak pamiętamy dobrze, że nauczałeś inaczej. Prędzej bym się zgodził, że jeszcze mi daleko do bycia prawdziwym filozofem albo że kierując się sercem, zbłądziłem. A kiedy tak podsuwasz myśl, że nasze dusze zło mają w sobie, to jakbyś nam bolesne oskarżenie w twarz rzucał i burzył to wszystko, coś o czystości dusz prawił.

– Widzę, żeś gotów, Euklidesie, pomniejszać swą wartość, byle bronić moich dawniejszych wywodów. A może nie o ich słuszność chodzi, tylko o to, żeś do nich przywykł, za własne w życiu uznał i teraz trudno ci zamienić je na inne. Spójrz tedy na to jeszcze w taki sposób: mówiliśmy, że wszystkie rzeczy pochodzą z przeciwieństw, że szybsze z czegoś wolniejszego, cieplejsze z zimniejszego, a sprawiedliwe z niesprawiedliwego. Tak więc i to co mądre musi wedle tej zasady wywodzić się z tego,

co niemądre. Jeśli dziś czuję się mądrzejszy niż wczoraj, to znaczy, że wczoraj byłem głębszy, a moje sądy w niektórych sprawach były niepełne, mniej dokładne albo i błędne. Czyż nie jest rzeczą słuszną zmienić zdanie, gdy się pozna, że tkwiło się w błędzie.

– Kiedy ma się pewność w tej sprawie, to owszem. Sam takiej pewności nie mam i nie mogę ochoczo dopuścić, że ja i tu obecni mamy zło w głębi duszy.

– A co, jeśli wszyscy mamy złe dusze? – spytał i powiódł wzrokiem po każdym z nas.

Poczułem się nieswojo, ponieważ myślałem podobnie do Euklidesa. Eryksimachos też był wyraźnie zaskoczony, przygarbił się bardziej, oczy mu przygasty, jednak wybrał milczenie. Dopiero Ktezippos przerwał ciszę.

– Nie umiem, Sokratesie kochany, ani w głowie sobie tego ułożyć, ani do serca przyjąć.

– I mnie nie jest lekko, ale jeśli pójdziemy razem tą drogą, powinno być łatwiej.

– Mnie cieszy już samo to, że chcesz iść razem z nami.

– Wiecie, że byłem hoplitą i rzemiosło wojenne nie jest mi obce.

– Jakże by inaczej. I zasługi twoje pamiętamy; to żeś pod Potidają uratował Alkibiadesa, to całe Ateny wiedzą. I to żeś niezwykłą odwagą zabłysnął pod Amfipolis. A nawet przy odwróceniu spod Delion, takim opanowaniem się wykazałeś, aż sam dowódca Laches żałował, że innym tego zbrakło. Ponoć rzekł wprost, że gdyby wszyscy taką dzielność mieli, to los bitwy inaczej by się ułożył, a Ateny ocalałyby honor.

Sokrates uśmiechnął się, poprawił na łóżku i ze skromnością powiedział:

– To się tak pięknie potem ubiera w wielkie słowa, układa mowy, pisze poematy o dzielnych bohaterach. A przecie niektórzy z was też poznali prawdziwy smak wojny lub znają z opowieści okrutne historie; i te dotyczące Hellenów, i te o barbarzyńcach. Nierzadko wyłania się tam bluźnierstwo i podłość, i zbrodnie, i niemęstwo wszelkie. Nie brakuje przekazów, które obfitują w mordy, gwałty, grabieże i palenie domostw. Za tym przecie stoją ludzie źli i podli; brak im szlachetności, brak stosownej dzielności, brak przymiotów duszy. Jak sądzisz, czy dlatego, że akurat ten lud jest tak prostacki, do reszty zepsuty i dusze ma znieprawione?

– Czasem tak być może; a co ty uważasz?

– Myślę, że dojdziemy do tego, a tymczasem miej w pamięci to nasze pytanie.

– Spróbuję, Sokratesie, a myślę, że inni tutaj też w tym dopomogą.

– Żeby łatwiej rzecz poznać, rozpatrz to nie tylko u ludzi, ale i u zwierząt. Posłużmy się zatem pewną analogią.

– No, nie – skrzywił się Euklides. – Sokratesie złoty, czy nie możesz wyłożyć swych myśli bez tego? Dopatrujesz się ciągle podobieństwa w rzeczach i zdaje ci się, że widzisz je w żywych stworzeniach. A przecież albo dwie rzeczy są różne i wówczas analogia nie wiedzie do prawdy albo rzeczy te są identyczne i wtedy nie ma między nimi nic do porównywania.

– Znam twój pogląd, Euklidesie miły, i skoro jeszcze żyję, to chętnie kiedyś z tobą się o to pospieram. A dziś miej wzgląd na przyjaciół, którym taka droga ułatwia rozważania. Czy się zgadzasz?

Euklides trochę nierad przytaknął. A mnie się zdaje, że tym chętniej się wycofał, im wyraźniej widział, jak rozmowa rozgrzewa Sokratesa i przywraca do dawnego wigoru. Na pewno razem z nami cieszył się z tego, mimo że temat rozmowy wiódł w przedziwną stronę. Sokrates poprawił fałdy himationu i wrócił do przerwanej wątku:

– Zwierzęta, powiedz Ktezipposie, one też mają w sobie dusze, czy nie mają?

– Ależ mają bez wątpienia.

– A gdy obserwować stado, to czyż nie widać między poszczególnymi sztukami dużego podobieństwa, szczególnie w zachowaniu?

– Nie przypatrywałem się wiele, ale zdaje mi się, że jest, jak mówisz.

– A zachowanie, a więc ruch pewien lub czynność czy nie jest zewnętrznym objawem, jakby widomym odzwierciedleniem wewnętrznej potrzeby?

– Wolno chyba tak powiedzieć, ale może byś to rozjaśnił.

– Zwierzęta poruszają się, aby zdobyć pokarm lub nie stać się nim zbyt szybko.

– I po to jeszcze, aby na przykład w pary się połączyć i mieć potomstwo.

– Zgadza się, po to także. Prosto mówiąc, chcą uniknąć niesprzyjających warunków, jak głód, zagrożenia, chłód, skwar, ból i inne podobne do tych. Każda bowiem taka przykrość burzy równowagę, narusza dobry stan. A każde zaspokojenie potrzeb przywraca harmonię i daje zadowolenie, czyli niejaką rozkosz; co powiesz?

– Widać u żywych stworzeń dążenie do takiej rozkoszy.

– A to dążenie jest odpowiedzią na przykrości powodowane przez coś, co pochodzi spoza zwierzęcia. Zatem odpowiedź na zewnętrzne przyczyny burzące równowagę, jest odpowiedzią wysłaną, choćby i bezwiednie, ale jednak z wnętrza, które ma potrzebę równowagę odzyskać.

– Może tak być.

– I we wszystkich tych potrzebach zwierzęta są do siebie podobne.

– Tak wygląda.

– A czyż nie obserwujemy w niektórych stadach, że jeden osobnik przykładowo posila się zdobyczą, jako pierwszy albo dowolnie wybiera sobie samice, albo przegania konkurentów?

– No, tak, można to u niektórych zwierząt zobaczyć.

– A skąd się to bierze, że on się tak zachowuje?

– Jest silniejszy, atrakcyjniejszy lub sprytniejszy i wykorzystuje swą przewagę.

– I to żeś celnie podsumował, Ktezipposie. A czyż to, że natura obdarzyła go większą siłą lub przebiegłością, nie są to pewne szczególne okoliczności?

– Są z pewnością.

– A przecież mógłby poprzestać na tym, co inni w stadzie, bo potrzeby jego duszy są takie same.

– Jakże to rozumieć, że chodzi o potrzeby duszy?

– Czyżbyś nie uważał na to, z czym się przed chwilą zgadzałeś?

- Na co mianowicie?
- Mówiliśmy o wewnętrznych potrzebach.
- Na Zeusa, myślałem, że to szło o potrzeby ciała.
- Aj, aj, chcesz mnie wywrócić, lecz ci się wywinę. Bo pragnienia ciała to w rzeczy samej pragnienia duszy. Może i wy pamiętacie – zwrócił się do wszystkich – bom nieraz opowiadał o tym, jakśmy z Filebem doszli tego. Otóż nie istnieje żądza ciała. Bo wszelkie dążenie do czegoś świadczy o tym, że istnieje jakaś pamięć o tym, do czego się dąży. A pamiętanie jest przecież zdolnością, która duszy przysługuje.
- Przyznaję, że gdyś to tak wystawił, tom przypomniał sobie, jakś o Filebie mówił.
- To może przypomnisz sobie jeszcze co innego. Mam na myśli opowieść o pierścieniu Gygesa. Co się stało, gdy go znalazł i odkrył, że potrafi uczynić człowieka niewidzialnym? Dalipies, wcale nie zaczął potajemnie czynić dobra, lecz podstępnie posiadał żonę króla, a jego samego zgładził i tron królewski zagarnął. Wystarczy zatem, by człowiek poczuł się bezkarny. Wróćmy wobec tego do przykładu zwierząt.
- Prawie że zgaduję, co też dalej będzie.
- Cieszę się, ale powiedzmy to głośno, by inni nie mieli żadnych wątpliwości. Mówiliśmy, że przewodnik stada wykorzystuje przewagę. Co zaś powoduje takie zachowanie?
- Jasno nam wynikło, że gdy bezkarnie może zdobyć dla siebie coś więcej lub coś lepszego, wówczas sięga po to.
- Dokładnie, mój drogi Ktezipposie. Podsumujmy więc sobie, cośmy powiedzieli. Mamy oto taki obraz: potrzeby jego duszy nie są większe niż u reszty stada. Jednak owe szczególne okoliczności dały mu pewną przewagę, a on bezkarnie z tego skorzystał.
- Nie inaczej nam się to przedstawia.
- A gdybyś odłączył od tego stada najsłabszego osobnika, a potem doskonale o niego dbał? Dawał najlepsze jado, schronienie i opiekę medyka, a do tego ćwiczył w sprawnościach ciała albo i w walce z innymi... to czy nie skorzystałby na tym, nie urósł, nie nabrał sił i nie stał się groźny? A wszak ciągle miałby w sobie tę samą duszę, czy inaczej powiemy.
- Trudno przyjąć inaczej.
- Skoro tak, to powiemy, że właściwości ciała mogą otwierać pole pewnych możliwości, dawać okazję, a wtedy dusza korzysta ze sposobności, by pchnąć ciało do jakiegoś czynu. I te większe możliwości, ujawniają w sposób wyraźny, do czego się dusza bierze, a o jakich sprawach zapomina.
- Wygląda, Sokratesie, że tak być musi.
- Nieprawdaż, to wróćmy na początek tego rozważania. Chodzi mi o pytanie, które chciałem, byś w pamięci zachował. Mówiliśmy o ludziach złych i podłych, którym brak dzielności i szlachetności, brak cennych zalet duszy.
- Tak i pytałeś, czy to dlatego, że akurat ten lud jest taki zły, do cna zepsuty, o duszach znieprawionych.

– Dobrze zapamiętałeś. Spróbujmy zatem znaleźć odpowiedź, w oparciu o to, cośmy dotąd ustalili. Najpierw jednak wypada zgodzić się co do tego, że w każdym człowieku jest taka sama dusza. Mówiliśmy przecież nieraz, że jedna dusza nie może być ani odrobinę mniej duszą niż jakaś druga. A zatem jest tym samym, co druga: duszą. Skoro zaś żadnej nie brakuje niczego, co inna posiada, to dowodzi, że różnic między nimi nie ma. Zgodzimy się, czy też inaczej uważasz?

– Pełna zgoda na to.

– Skoro brak powodu, by ludzie mieli zostać obdarzeni różnymi duszami, to niby jak jeden lud miałby dostać w większości te podłe, a inny te dzielne.

– Nie wydaje się to możliwe.

– To musi być inna przyczyna tego, że zło okrutne popełniają. Ja bym powiedział, że to okoliczności sprawiają, że odsłania się brutalna natura duszy. Nie wydaje ci się to słuszne?

– Ze wszech miar, Sokratesie.

– Znane są wam dzieje bitwy u ujścia Koziej Rzeki. Tam na wybrzeżu wódz Spartan Lizander zajął niemal całą flotę ateńską wyciągniętą na ląd. Bodaj trzy tysiące żeglarzy wziął do niewoli, po czym ich bezwzględnie stracono. A wszystko w odwecie za okrucieństwa, jakich wcześniej dopuścili się Ateńczycy. Jedni i drudzy zatem zła się dopuszczali. Z drugiej strony, nietrudno byłoby nam znaleźć przykłady chwalebnych czynów wśród Spartan, tak jak znajdujemy podobne wśród ateńczyków, megarejczyków albo Beotów. Czy nie jest więc tak, że nawet wśród wrogiego ludu znaleźć można ludzi szlachetnych i sprawiedliwych, a pośród własnego, który się za najlepszy uważa, znajdziesz okrutników i złoczyńców?

– Trzeba to przyznać, choćby gorzką prawdą było.

– Przypomnijcie też sobie, co kiedyś mówiłem; że ludzi w pełni dobrych i ludzi całkiem złych jest bardzo mało, a tych pośrednich najwięcej. Długo sądziłem, że i rozruchy, i bitwy, i wszelkie wojny znikądinąd nie pochodzą, tylko z żądź ciała. Skoro w każdej wojnie chodzi o pieniądze, a te zdobywamy dla ciała, by mu dogadzać, to ono musi być wszystkiemu winne. I przez ciało nie mamy czasu, by oddawać się filozofii. Teraz wypada mi przyznać, że każde pożądanie jest związane z psyche i najbardziej nawet cielesnych przyjemności tak naprawdę pragną dusze, a nie ciała.

Mamy więc to za sobą. A skoro tak nam się foremnie rozmowa układa, to jeszcze jedno dopowiedzmy sobie w temacie ludzkiej natury; zobaczymy, co nam się pokaże.

– Jeśli uważasz, że można i warto dodać tu coś więcej, mów proszę.

– Co robi kot, gdy kij weźmiesz i zagonisz go w róg izby? – spytał Sokrates, a Euklides znów się skrzywił, słysząc, że rozwija się kolejna analogia.

– Skuli się ze strachu – odparł Ktezippos.

– A kiedy zaczniesz się zbliżać albo trącać go tym kijem? Wtedy kot zacznie prychać, szczyrzyć kły i bić łapą w koniec kija, czyż nie.

– Zwykle tak się to kończy.

– W najtrudniejszych więc sytuacjach zwierzę potrafi się ostro zachować. Wyzwala się w nim szał jakiś. Czyż z ludźmi nie jest podobnie? W skrajnych okolicznościach,

gdy człowiekowi trudno panować nad sobą, gdy górę w nim bierze zwierzęca strona, człowiek ów często zachowuje się w sposób nie godny istoty rozumnej. Czy to nie mówi nam, że taka jest jego najbardziej podstawowa, najgłębiej usadowiona natura? Może ludzka dusza, wcale nie jest czymś czystym, pięknym i niewinnym. Przeciwnie; jest samolubna, zaborcza, zdolna pchać do czynów haniebnych, tchórzliwa, bezlitosna, bezwzględna i pozbawiona współczucia. Dopiero kolejne warstwy ćwiczeń i nauki, i dobrego wychowania, i zdobywania mądrości, i troski o zdrowie, czy o życie w ogóle, pokrywają pierwotną naturę duszy i utrudniają jej dojście do głosu. A poczucie bezkarności albo zapędzenie w róg i położenie bez wyjścia, odsłania jej oblicze. Dlatego pojawiło się we mnie to pytanie i lęk przed odpowiedzią: Czy nie jest tak, że wszyscy mamy złe dusze?

– Mówisz rzecz trudną do przyjęcia.

– A przyznam się wam, że mnożą mi się w głowie kolejne myśli wokół tego tematu.

Wtedy wstał Euklides i uprzejmie zaproponował:

– Zajmując się ta rozmowa toczy i ciekawie się jej ciąg dalszy zapowiada. Wszelako słońce już podeszło i minęła pora posiłku. Dlatego pozwólcie, przyjaciele, że prawem gospodarza zarządzę małą przerwę, żeby się posilić. A jeśli tak się zgodzimy, by przy jedzeniu kontynuować, to i ciału się przysłużymy i duszę uraczymy filozofią, gdy szybko do tematu wrócimy – spojrzął po zebranych, czy nikt nie protestuje i wyszedł.

Zaraz się ruch zrobił. Paru niewolników weszło, zdjęło nam trzewiki i obmyło stopy. Ledwie wyszli, wniesiono stoły i ustawiono przed nami w podkowę. Wszystko szło nadzwyczaj sprawnie. Służba przyniosła wodę i ręczniki. Umyliśmy dłonie i niemal natychmiast pojawiły się potrawy, a obok postawiono kratery z winem. Wszedł Euklides ubrany, jak należy w himation. Uroniliśmy parę kropli bogom na ofiarę i zaczęliśmy jeść. Dopiero widząc pszeny chleb, miód, ser i oliwki odczuliśmy głód, który wcześniej przytłumiła dysputa. A po chwili, zgodnie z umową, powróciliśmy do filozofii. Euklides dla pewności zwrócił się grzecznie do Sokratesa:

– Czy nadal chcesz się podzielić swoimi myślami?

– Tylko wtedy, gdy wszyscy zechcą tego słuchać.

– Nie mam wątpliwości, że czekają równie niecierpliwie, jak ja. A może i z równym niepokojem, bo to, co dzisiaj słyszymy, na takie ścieżki wiedzie, na jakich nikt by się Sokratesa nie spodziewał.

– Sam jestem zdziwiony, że się tam znalazłem. Jednak czyż zdziwienie nie jest pierwszym krokiem do filozofii.

– Od czego zatem zaczniesz?

– Na początek może zastanówmy się nad samym złem, bo to nam się przyda w późniejszych rozważaniach.

– Skoro tak proponujesz, nie będzie inaczej – rzuciłem zapewniająco, a wtedy nagle Sokrates mnie wybrał sobie na rozmówcę.

– Czyż nie jest tak, Terpsionie, że w wielu przypadkach określamy coś mianem zła lub że ma cechy czegoś złego? Mówimy, że zło nas jakieś spotkało albo czegoś złego

doświadczyliśmy tudzież ktoś się złym okazał, czy to w ogólności, czy w jakimś odosobnionym działaniu.

– Rzeczywiście, często tak mówimy.

– A jak ci się zdaje, czy zło jest jednego rodzaju? Czy tak, jak o nim powszechnie mówimy, tak i rzeczywiście wszelkie przejawy zła w świecie są tej samej natury?

– Jak coś jest złe, to po prostu mówimy, że takim jest. A jak coś lub ktoś zło wyrządza, to nie sposób dobrem tego nazywać.

– Mi chodzi o to, czy zawsze pojęcie zła rozumiemy tak samo i czy wolno go nam jednak używać w każdym przypadku. Bo może powinniśmy wprowadzić jakieś rozróżnienie.

– Widzę Sokratesie, że nie wystarcza ci codzienny sposób pojmowania rzeczy, ale chcesz zajrzeć głębiej i sprawdzić, czy się one z jakich mniejszych części składają. Prowadź zatem, bom już zaciekawiony.

– Spróbujmy na początek odpowiedzieć, czy przyroda wyrządza zło.

– Naturalnie, że tak – potwierdziłem.

– Nieprawdaż, gdy lawina zasypie kogo albo ulewa zniszczy mu plony, albo burza zatopi okręt, to mówimy o złu, czy inaczej jakoś to traktujemy.

– Jak najbardziej, z niemalym złem mamy tu do czynienia.

– Czy powiedziałbyś wobec tego, że kamienie, woda i powietrze są złe lub czasem takimi bywają?

– W żadnym razie. Raczej, że w pewnych okolicznościach do czegoś złego doprowadzają.

– To i pewnie zgodzisz się, że sama lawina, powódź, czy sztorm nie zawsze zło sprowadza, a tylko czasami.

– Co masz na myśli, Sokratesie?

– Jeśli kamienie nikogo nie pogrzebały, jeśli powódź nie zalała upraw a podczas sztormu statki zacumowano w bezpiecznych portach, to żywioły żadnego zła nie spowodowały.

– Jeśli rozumiem, co mówisz, to ze złem mamy do czynienia wówczas, kiedy ktoś go doświadczony.

– Otóż to. A gdy tak właśnie się dzieje, to czy według ciebie przyroda robi to umyślnie?

– Skądże by, przecież ani głązy, ani wichry, ani fale nie myślą.

– Doskonale to ująłeś, Terpsionie. Zastanówmy się zatem, czy nie będzie tak, jak mi się wydaje. Skoro przyroda nie czyni zła umyślnie, to chyba to samo znaczy, że nie miała takiego zamiaru, czy inaczej.

– Nie inaczej. Materia sama, nie mając duszy rozumnej, niczego nie jest w stanie pomyśleć ani zaplanować, ani zapragnąć.

– Zatem czyni zło niechcący?

– Z całą pewnością.

– Przypomina mi się niegdysiejsza rozmowa z Hippiaszem. Przyznał, że każdy człowiek, od dziecka począwszy, a na starcu kończąc, dużo więcej złego czyni, niż



dobrego i błędzi mimo woli. Powiedz, jak ci się zdaje, czy jest jakaś różnica w ocenie takiego zła, które powstało mimo woli od takiego, które wyrządzono z rozmysłem?

– Jest Sokratesie. Za to pierwsze nagana i kara jest mniejsza, a czasem nawet żadna nie następuje.

– Więc podsumujmy: przyrodę, czy jak rzekłeś materię, będziemy za zło winić, bo bywa jego przyczyną, ale uznamy, że na naganę nie zasługuje.

– Nie zasługuje w żadnej mierze.

– A co powiemy o drzewach i roślinności w ogóle, czy myślą, czy też nie potrafią?

– Nie potrafią, jak mi się widzi.

– Zatem jeśli do jakiegoś zła doprowadzą, to także nieumyślnie, a co za tym idzie złe nie są?

– Tak samo być musi, wedle tego, cośmy dotąd mówili.

– A co ze zwierzętami, czy to dziko żyjącymi, czy udomowionymi. Czyż nie bywają sprawcami zła?

– Zdarza się tak. I zdaje się wiem, o co zaraz zapytasz. Od razu więc ci powiem, drogi Sokratesie, że nie mam pewności, czy zwierzęta myślą, a idąc za tym, czy działają umyślnie.

– Byłoby to błędne mniemanie, gdyż dusze zwierząt kierują się tylko popędami i pożądaniami. Nawet i ludziom czasem się to zdarza. Dlatego, widząc w zachowaniu zwierząt podobieństwo do swego, ulegają złudzeniu, że z rozumnym działaniem mają do czynienia.

– Czy w takim razie również zwierzęta nie czynią zła umyślnie? Przecież dostrzegamy w ich postępowaniu pewne planowanie, podstęp czasem i zamiar jakiegoś działania.

– Czy sam zamiar wystarczy, czy ważna jest też wiedza, do czego działanie prowadzi?

– Co masz na myśli?

– Wedle twego osądu, czy istnieje różnica między tym, że ktoś zamierza zrobić rzecz jakąś, a tym, że wie przy okazji, czy robi coś dobrego, czy złego?

– Jest różnica i pojmuję, co chcesz powiedzieć.

– Cieszę się. Uznamy zatem jedno: gdy ktoś potrafi ocenić, że działając, zło wyrządza, wtedy nie tylko winny jest samego czynu, ale też godny nagany i kary.

– Tak być musi, jak powiadasz.

– A czy u zwierząt możemy stwierdzić zdolność do takowej oceny swoich czynów?

– Nie wydaje mi się.

– Zatem, mimo że zło wyrządzają, same nie są złe.

– Tak by przyznać wypadało.

– Doszliśmy zatem tego, Terpsionie drogi, że zarazem nieżyjąca materia, jak też rośliny i zwierzęta, czy przyroda w ogóle cała, nie są złe ze swej natury.

– Tak nam wychodzi, ale inna myśl przyszła mi właśnie do głowy. Niektórzy uważają, że za tym, co przyroda sprawia tak naprawdę stoją bogowie, którzy w ten

sposób się nią posługują przeciw człowiekowi. Nie przez złośliwość wszelako, lecz żeby go słusznie ukarać.

– I ty też tak sądzisz?

– Czasem miewam takie przypuszczenia, bo i ludzie dają po temu powody.

– Boję się, czy rozważanie tego nie odsuwa nas za daleko od tematu przyrody i żywiołów. Zwłaszcza że bogowie, jak nieraz to zgodnie powtarzaliśmy, z natury są dobrzy i sprawiedliwi. Spróbujmy zatem krótko się nad tym zastanowić, mając na względzie kataklizmy, od jakich zaczęliśmy.

– Niech i krótko będzie, Sokratesie, byle udało się rozwiać jakoś moje wątpliwości.

– Powiedz mi więc, czy podczas tych nieszczęść cierpią tylko ludzie?

– Nie tylko, jak mi się wydaje.

– Czyż nie jest tak, że zginęły i zwierzęta żyjące na stoku, po którym toczyły się kamienie albo utonęły te żyjące w polu zatopionym i te wiezione na okręcie? I czy nie uległy długotrwałemu zniszczeniu drzewa i pomniejsze rośliny?

– Masz rację.

– Nieprawdaż, a wszelako nijaką winą wobec bogów stworzenia te narazić się nie mogły.

– I to się możliwym zdaje, lecz wiemy też o tym, że dla uzyskania większego pożytku, czasem gotowiśmy coś poświęcić, choćby i dobre było.

– Mądrześ powiedział. Czasem jedno dobro kosztem innego budujemy. A rozważ i to jeszcze. Czyż nie jest tak, że krzywda tego rodzaju, jak lawina, huragan, potop, czy pożar dotyka na równi tych, których można by posądzić o jaką winę przeciw bogom, jako też tych, w których winy takiej nie ma?

– Na pozór tak bywa, ale wiesz przecie, że ktoś mógł zawinić w sposób, o którym inni ludzie się nie dowiedzieli. Poza tym w oczach bogów, ale i filozofów, jak mniemam, nikt nie jest doskonałym i każdy większe lub mniejsze zło popełnia.

– Słusznie zauważyłeś, Terpsionie. Toteż nad każdym kara jakaś zawisnąć powinna. Czy jednak bogowie nie wykazałyby się niesprawiedliwością, gdyby taką samą karą za jednym zamachem dotknęli wyjątkowych bluźnierców, jak i pomniejszych bezbożników oraz tak pobożnych, że prawie niewinnych?

– Rzeczywiście, byłoby to niesprawiedliwe.

– Odłóżmy zatem na bok boską sprawczość w takich nieszczęściach, o jakich mówiliśmy.

– Zgoda, odłóżmy, Sokratesie.

– Zostaje nam więc, że przyroda nie jest zła.

– Tak wychodzi.

– Skoro ani przyroda, ani rośliny i zwierzęta nie są złe, a jeśli zło czynią, to tylko nieumyślnie, jednakowoż zło umyślne wokół siebie obserwujemy, to co za nie odpowiada? Czyż nie powiemy, że odpowiadać za nie musi dusza rozumna, ludziom tylko dana, jedyna co myśleć, sądy wydawać i czyny oceniać potrafi?

Słuchaliśmy, Epiganesie, tego roztrząsania i dziwnie nam jakoś było. Sokrates mówił spokojnie, oczy zmęczone przymykał i twarz nieruchomą zachowywał, tak że trudno

było odgadnąć, co w jego sercu się działo. Tylko gdy po owoce sięgał albo himation na ramieniu poprawiał, widać było, jak w ruchach wciąż jest powolniejszy. Ktezippos od dłuższej chwili wiercił się i najwyraźniej chciał wtrącić słowo, ale chyba śmiałości mu brakowało. Sokrates widział to i teraz gdy głos zawiesił, spojrzął nań wymownie swoimi wielkimi oczami, bez słowa, wyczekująco, aby go ośmielić.

– Sokratesie – odezwał się ostrożnie – nie gniewaj się za te słowa... Mnie się wydaje, że ty specjalnie tak mówisz i odwracasz wszystko, co kiedyś o czystej duszy powiedziałeś, żeby nam radość zepsuć i ukarać za to, żeśmy cię wykradli.

– Tak sądzisz, kochany Ktezipposie? Przecież to razem z Terpsionem rzecz całą rozważaliśmy i ze wspólnej rozmowy nie chciało nam wyjść inaczej.

– Bo też ty potrafisz tak słowem i człowiekiem zakręcić, że nie wie, czy poważnie mówisz, czy go próbujesz, czy może to sól attycka i żarty jakies.

– Tak poważnych rzeczy, jak dusza, na żart bym nie obracał. Ale widzę, że naszych argumentów nie dzielasz. Czekaj no, bo jak mi się zdaje, mógłbym dodać coś jeszcze, jeśli mi tylko pozwolisz. Może to cię przekona, jeśli nie całkiem, to w części przynajmniej. Jak więc będzie, pozwolisz?

– Wiesz, że nie potrafiłbym tobie odmówić.

– Czyż nie mówiliśmy nieraz, że to, co mniej doskonałe podlega temu, co doskonalsze?

– Jakżeby nie? Tak mówiliśmy.

– Czy zaś ciało, jako złożone i śmiertelne nie jest dalsze od doskonałości, niż niepodzielna, nieśmiertelna dusza? Zatem ciało należy widzieć, jako podległe władzom duszy. Ono powinno być jej posłuszne, a nie ona w jego niewoli. To prawda, że ciało ma swe potrzeby, a niektóre z nich budzą różne pożądanía, lecz to po stronie duszy leży rozumne dbanie o dobry stan ciała i panowanie nad pożądaniami i popędami. Tak, jak woźnicy winno zależeć na dobrym stanie rydwanu i zdrowych, dobrze ułożonych koniach.

– A mi nadal pewna rzecz spokoju nie daje: wiemy, że człowiek lubuje się w różnych przyjemnościach, szuka rozkoszy i ciągnie ku temu, co łatwo radość przynosi. I żeby zaspokoić te potrzeby, sięga po różne dobra, jakie ma wokół siebie, czy to o strawę idzie, czy przyodziewek, czy schronienie jakie, czy przyjemności. A co, gdy ich nie staje, a są u kogo innego w posiadaniu? Oczywiście, wtedy dla ich zdobycia albo coś swego oferuje w zamian, albo o pieniądź musi się wystarać, by to kupić, albo do występku się posuwa lub po przemoc sięga i nawet wojny toczy. Mnie się ciągle wydaje, że za tym wszystkim stoją potrzeby i pożądanía ciała, a dusza zgoła niewiele ma z tym wspólnego.

– Tylko pozornie tak to wygląda, Ktezipposie drogi. Miej cierpliwość, bom pewien, że ta rzecz jeszcze nam się w rozmowie wyjaśni. Sam miałem o ciebie jak najgorsze zdanie. Sądziłem, że to wróg duszy, że to jej więzienie. Równocześnie pochwałę wystawiałem duszy, mniejsze dając baczenie na to, czy nie przysługują jej jakieś wady. A przecież kiedym mówił, jak potrafi ona ulegać wpływowi ciała i daje się bardzo łatwo sprowadzić na złą drogę, to czyż nie krył się za tym dowód pewnej jej słabości. Może

należy więc uznać, że dusza ludzka, której przypisywałem boskie pokrewieństwo, jest jednak licha w porównaniu z boską, nie tak czysta i w dodatku słabsza. Wszak nie ma mocy sprawczej, sama sobą niewiele może zdziałać w obszarze tego świata, a bogowie mogą. To właśnie ciało pozwala jej gościć w tym świecie, poznawać go i zmieniać wedle możliwości. To ciało umożliwia kontakt z innymi ludźmi, czyli innymi duszami w ich ciałach.

– I w moim ciele duszę poruszyłeś. Osobliwie się czuję, kiedy tego słucham, jakbyś nie ty tu siedział i mówił te słowa.

– Ja sam zmianę w sobie dostrzegam. Dlatego też wypada mi zająć nowe stanowisko, bo starej twierdzy coraz trudniej bronić. Trzeba, zamiast traktować ciało, jako więzienie duszy, pręcej uznać je za schronienie podobne do skorupy raka. Pancerza potrzebnego, by osłaniać wrażliwe wnętrze, usztywnić i zachować kształt stworzenia, poruszać się w świecie, obcować z przedmiotami i innymi stworzeniami oraz wywierać wpływ na bieg niektórych rzeczy. Dusza najwyraźniej potrzebuje ciała jak narzędzia, przynajmniej w tym świecie. Nie jest zdolna odbierać wrażeń bez sprawnych zmysłów ciała, ale i nie odbierze ich samo ciało, pozbawione duszy.

– Niezwykłe rzeczy mówisz, Sokratesie miły, jakbyś z piachu i dymu próbował sznur splatać.

– I całkiem udatnie chyba mi się to zaplata. Przeto powtórzmy sobie: dusza ze swej natury ma zdolność odbierania wrażeń i poznawania rzeczy, lecz nie podoła temu bez ciała. Dopóki więc ciało i dusza są z przymusu razem, dopóty duszy dana jest możliwość poznawania rzeczy, choć umiejętność ta ograniczona jest niedoskonałością ciała. Po śmierci dopiero dusza uwalnia się od tej konieczności i przebywając w świecie bogów oraz czystych idei, w którym nie musi stykać się z materią, tam może bytować bezcieleśnie i swobodnie, tam wystarczą jej władze posiadane z natury, bo tamten świat nie wymaga zmysłów, by czerpać radość, bądź przyjemność, by obcować z dobrem, pięknem i sprawiedliwością. Ów świat pozwala osiągnąć niezmaconą mądrość a co za tym idzie: pełną szczęśliwość. W tym zaś świecie jedynie odbicia i cienie tegoż są nam dane.

– Oczy mi szeroko otwierasz, Sokratesie, aż pieką. Na powrót chce się zacisnąć powieki.

– Zaciskaj, jeśli musisz, ale uszy pozostaw otwarte. Powiedzieliśmy, że ciało jest mniej doskonałe, niż dusza. Rozważmy jeszcze krótko, czy to wystarczy, by uznać, że ciało samo w sobie jest złe. Trochę nam tę sprawę rozjaśniła rozmowa o kataklizmach, ale warto, myślę, przyjrzeć się temu dokładniej.

– Przyjrzyjmy się, Sokratesie, co nam szkodzi.

– Proste pytanie: czy ciało jest złem?

– Przeczuję, że nie, choć tak z marszu trudno mi znaleźć dowody.

– Słusznie przeczuwasz, Ktezipposie, gdyż zło, tak jak i dobro, nie posiada postaci, z żadnej materii nie jest zbudowane. Zatem nic, co z materii się składa, złem być nie może.

– To pewnie, w zgodzie z powyższym, ciało nie może być złe.

– Ze swej natury jest niedoskonałe, ale powiedzieć, że jest złe, to byłoby za wiele. A czy można rzec, że jest dobre, o tym jeszcze dalej rozważać będziemy. Czy zatem ciało może być źródłem zła?

– To już coś prędzej, wszystkie bowiem stworzenia i cała przyroda w ogóle, i wszystko, co z materii się składa, może różnorakie zło spowodować, co na przykładach wcześniejszych wykazaliśmy.

– Pięknie nam tę lekcję odtworzyłeś. Trzeba tylko pamiętać o rozróżnieniu zła umyślnego i takiego, które powstaje niechcący. Czy tak możemy na tę chwilę powiedzieć, czy jakoś inaczej?

– Tylko tak, jak rzekłeś.

– Kiedy mówiliśmy o materii, wyszło nam, iż w swej naturze nie jest zła. Dodajmy, że z konieczności jest dobra, gdyż jako byt istniejący jest czymś dodatnim wobec tego, co nie istnieje. A przecież stworzenia cielesne, czyli rośliny, zwierzęta i ludzie, to również byty zbudowane z materii. Jeśli budulec jest dobry, to i budowla zawiera w sobie to dobro. Jeśli dołożyć do tego przekonanie, iż wszelkie byty zostały stworzone boską ręką, to mając źródło w bycie doskonałym i dobrym, musiały przejąć z niego część tych wspaniałych pierwiastków. Nic też nie każe nam sądzić, że któryś rodzaj materii ma w sobie mniej dobra, niż inne, czy to przez wzgląd na złożoność, czy przeznaczenie, piękno formy, czy inne cechy. Tylko dusze, które ożywiają te byty, różnią się między sobą stopniem doskonałości. Stąd dusza drzewa inna jest pod tym względem od duszy robaka, ta zaś różni się od duszy ptaka, czy konia, a tym z kolei brakuje pewnych cech, właściwych dla duszy ludzkiej.

Wróćmy jednak do rozważań o ciele. Gdyby możliwe było pozostawić je w spokoju, tak, aby w żaden sposób nie wpływało na otaczający je świat, to wówczas nie czyniąc niczego, nie czyniłoby ani dobra, ani zła. Nie wydaje ci się tak?

– Jakżeby nie?

– Kiedy więc wyrządza dobro lub zło? Ano wtedy, gdy człowiek swoją decyzją wprowadzi je w ruch albo jakąś inną aktywność. A decyzja taka rodzi się przecież nie gdzie indziej, jak w umyśle, czyli duszy rozumnej. Dlatego to ona ponosi odpowiedzialność za działania człowieka i jej przypada w udziale nagroda, bądź kara. Nie sposób obwinać pancierz raka za to, jaką drogą ów rak poszedł, gdyż nie skorupa wybrała kierunek i nie sama z siebie ruchy wykonywała.

Tak więc można stwierdzić, że ciało, jako materia jest dobre. A powiedzieliśmy wcześniej, na przykładzie kataklizmów, że materia nie działa umyślnie. Z tego jasno widać, że ciało, nawet jeśli samo sobą, na przykład własnym ciężarem, jakieś zło wyrządzi, to nie czyni tego umyślnie. To nasuwa wniosek, iż umyślność i złe zamiary przysługują jedynie duszy.

– Ale czy z tego wprost wynika, Sokratesie miły, że dusza jest zła? Ja wciąż pamiętam, że z natury przysługuje jej czystość, nieśmiertelność i doskonałość, że bogom jest podobna i jak one dobra.

– Ano, spróbuję się bronić wobec ciebie bardziej przekonująco. Bo mnie się wszystko jakoś tak układa, że dobroć duszy nie wynika z jej natury, ale wymaga

wypracowania, wysiłku, zdobycia mądrości i kierowania się nią. A skoro niepodjęcie tych działań skutkuje złem, to znaczy, że ono jest bliższe naturze duszy, bo zachodzi samo z siebie. Dopiero ujarzmianie go siłami rozumu pozwala wejść na drogę mądrości i dobra. Pamiętasz, wszystko wynika z przeciwieństw. Żeby coś stało się ładniejszym, musiało być wcześniej brzydszym. Gdy człowiek staje się dobrym, to znaczy tyle, że wcześniej był złym.

– Co ty mówisz, Sokratesie poczciwy?! Od lat wszystkich namawiasz do rozwijania w sobie mądrości i tą drogą stawania się dobrymi. Czy to znaczy, że masz ich za głupich i złych?

– Za złych i głupich uważam tych, którzy mi dają przekonujący powód, by tak sądzić. Nie wszyscy tacy być muszą. Co rusz wam powtarzam, że całkiem złych, jak i całkiem dobrych ludzi jest niezwykle mało. Wróćmy do porzuconej myśli. Zdaje się, że bycie złym nie wymaga większego wysiłku, natomiast bycie dobrym okupione jest ciężką pracą, wyrzeczeniami, staraniami i troską. Już patrząc na dzieci, widzimy, że bycie posłusznym, prawdomównym, pracowitym, czy ogólnie mówiąc: dobrym, nie jest cechą wrodzoną. Wszelka dzielność musi im być wpajana, często wbrew ich woli. W ich naturze zatem musi być coś przeciwnego, a jeśli nad zmianą tegoż nie będzie się pracowało, to ów pierwotny stan nie tylko utrwalić, ale i pogłębić się może.

– Wszystko to składnie się wiąże, a jednak jakiś opór budzi.

– Zanim się z tym oswoisz, wróćmy do wątku, który otworzył nasze rozważanie na temat zła. Gdybyśmy wobec powyższego chcieli myśli nasze w jakieś uporządkowane ustalenia zebrać, co by nam wyszło? Jak powiesz, Ktezipposie, czyż nie przedstawia się nam, że ani zjawiska przyrody, ani rzecz żadna z materii zbudowana, ani żadne żywe stworzenie, poza człowiekiem, nie są złe?

– Tak przyznać wypada.

– I z tego, cośmy mówili widać, że jest różnica między złem, którego źródłem jest niemyśląca przyroda, a tym, którego autorem jest myślący człowiek. I znowu dalej, znaleźliśmy różnicę między złem umyślnym a mimowolnym.

– Tak bym powiedział, jak twierdzisz, Sokratesie.

– Nieprawdaż, a jednak gdy ludzie mówią, że ze złem mieli do czynienia, to nikt nie dopowiada, że chodzi o zło tej, czy innej natury.

– Ja przynajmniej nie słyszę, by tak dopowiadano.

– Przyznasz zatem, że mówi się tak w pewnym uogólnieniu, żeby było prościej.

– Tak wygląda, że w ten sposób bywa.

– Wypadałoby więc pilnować się, kiedy czyjeś zachowanie oceniamy jako złe i kiedy kogoś złym nazywamy, bo inaczej osąd nasz może być błędny i niesprawiedliwy.

– Tak, Sokratesie, najłatwiej wtedy o taką pomyłkę.

W tym momencie, Epiganesie drogi, przerwał nam Euklides i przywołał sługi. Błyskawicznie wynieśli stoły i posprzątały resztki. Powiem ci, krzątali się nad wyraz zwinnie. Wnieśli stoliki, podali ciastka na miodzie, winogrona, orzechy i suszone figi. Niewolnicy obiegli sofę z wodą i ręcznikami. Ledwie człowiek ziewnął i było gotowe. Kiedy wyszli, Euklides powiedział:

– Bardzo ciekawe rzeczy mówiłeś, Sokratesie najmilszy, o ciele i o duszy, chociaż wnioski wydają się frapujące. Ja bym chętnie coś więcej o tym posłuchał, jeśli miałbyś ochotę powiedzieć. Bo niczego podobnego w tej sprawie nigdy od nikogo nie słyszałem.

– Kochany jesteś, mój Euklidesie i naprawdę złoty, skoro myślisz, że coś więcej mogę tu dołożyć. Próbujmy jednak pospołu, to z pewnością do czegoś dojdziemy. Więc tak, przyjacielu. Czym jest to, o czym mówić chcemy, trochę już powiedzieliśmy. Aby ruszyć dalej, myślę, że dobrze byłoby, żeby Meneksenos i Ktezippos do swej pamięci sięgnęli.

Obaj spojrzeli po sobie, po czym odezwał się Meneksenos:

– Jak możemy, tak postaramy się pomóc.

– To musicie wyteńczyć głowy i pomodlić się do Mnemozyny, bo było to lata temu. Akuratnie świeżo pobudowano zakład gimnastyczny Mikkosa, gdzie ćwiczyliście z innymi. Kiedym przechodził w pobliżu, idąc do Lykejonu, zawołał mnie tam Hippotales. Potem z wami i grupą młodzieńców rozmawialiśmy, dopóki guwernerzy nie przyszli, aby młodszych do domów odprowadzić.

– Aj, kochany Sokratesie, ledwie coś pamiętam; miałem lat paręnaście; tak samo Ktezippos.

– Ale pamiętacie, żeśmy rozmawiali?

– To na pewno.

– A to, że z różnych spraw, jakie poruszyliśmy, jedna dotyczyła ciała?

– To potwierdzić mogę. Była zdaje się mowa o tym, że nie jest ono ani dobre, ani złe.

– Widzę, że pamięć ci służy. A coś więcej powiesz jeszcze?

– To tylko, że gdy ciało choruje, wtedy jakby zło ma w sobie i zwraca się do medycyny, gdzie szuka dobra.

– Dobrześ to przytoczył. Wyszła nam wtedy rzecz ciekawa; pozwól, że ci to odświeżę. Coś, jak choćby ciało właśnie, co nie jest ani dobre, ani złe, czasem zostaje złem obarczone. Wtedy to zło w jakiś sposób mu przysługuje jakby węń wszczepione. Jeżeli ta obecność zła zrobi ciało całkiem złym, to sprawa jest przegrana. Jeśli jednak ciało nie stało się jeszcze złe, mimo że już zło ma w sobie, to z powodu tego zła zaczyna pożądać dobra, które może mu utracony stan przywrócić. Wyszła nam z tego ogólniejsza zasada, że dzięki jakiemuś złu, zaczynamy lgnąć do dobra, pożądać go, a nawet miłować. Gdyby zaś nie było zła, to żadna rzecz nie byłaby przez nie dotknięta ani popsuta. A wtedy dobro byłoby niepotrzebne, bo nie byłoby okoliczności, w których mogłoby przynieść pożytek i na coś się przydać.

– Niezwykłą pamięć masz, Sokratesie, a gdy tego słucham, coś mi się w głowie rozjaśnia i, dalibóg, te słowa nie brzmią mi, jak nowe.

– Mając to na uwadze, cośmy sobie przypomnieli, zastanówmy się nad czymś podobnym. Skoro ciało lgnie do dobra, gdy ma zło w sobie, to jak rzecz ma się z duszą?

– Pewnie musi zachodzić jakieś podobieństwo, choć natura duszy tak dalece różni się od natury ciała, że nie mam pewności.

– Poszukajmy więc razem. Największe dobro dla duszy można zyskać, zwracając się ku filozofii i zdobywając mądrość. Owo dobro to świat doskonałych idei, świat, do którego w gruncie rzeczy nie mamy pełnego dostępu, a częściowy dostęp zapewnia trudna sztuka przypominania sobie przez duszę rozumną tego, czego była świadkiem i uczestnikiem, zanim wstąpiła w jakieś ciało. Zdobywanie mądrości, powiedzieliśmy, wymaga pewnego wysiłku. Nie spływa na człowieka ani nie rodzi się w nim samo. Nie wystarczy doczekać swych lat, aby mądrość, jak broda sama wyrosła. Wiedzę trzeba zdobywać w niemałym trudzie i następnie pielęgnować, rozwijać, a strzec przed zakusami świata, które łatwo z tej dobrej drogi ściągają człowieka na manowce. Czy zgadzasz się, jak dotąd, Meneksenosie?

– Ze wszech miar, przecież.

– Wiemy, że wiedza przybliży nas do dobra. Zło zaś wynika z niewiedzy, z tego, że nie pamiętamy świata idei. Osiągnięcie pełni wiedzy za życia jest niemożliwe. Dostępne jest tylko i dopiero po śmierci, w dodatku pod warunkiem, że człowiek będzie wiódł dobre życie. Ma szansę to osiągnąć na drodze filozofii. Niestety, w najlepszym razie tylko przybliży się do prawdy, a właściwie do jej cienia. Skoro zaś większość ludzi tkwi w niewiedzy, a nawet najmądrzejsi pełnej wiedzy nie dostąpią za życia, to co należy przyjąć?

– No, skoro dusze, tu na ziemi trwają w niewiedzy, a niewiedza jest złem, to wychodzi, że dusze ludzi tkwią w czymś złym.

– Tak nam wychodzi. I moja dusza też przez te długie lata swoją karę odbywała, ale wierzę, że swoim dążeniem ku dobru zasłużyę po śmierci na powrót do świata czystych idei, między bogów i ludzi dobrych już tam przebywających. Niechby tylko Ajakos w Hadesie osądził mnie litościwie. Gdyby się jednak dusza moja niezbyt rozumną okazała, wtedy kolejne wcielenie i następny krąg kary ją czeka.

– Nie możliwe, by ciebie taki los spotkał, Sokratesie dobry.

– Miłe są twoje słowa, ale idźmy dalej. Ciało ma pewne właściwości przysługujące mu z natury. Zostało więc w taki, a nie inny sposób urządzone przez stwórcę i spełnia swoją powinność, choćby i niedoskonale. W tym, czym jest i do czego się skłania, jest szczerze. Otwarcie ujawnia swe potrzeby, staje w świetle prawdy. A co z natury jest prawdziwe i na prawdzie oparte, nie może być zupełnie złe. Czy nie tak się to jawi?

– Widocznie.

– I nawet gdyby po staremu się upierać, że ciało jest więzieniem duszy, to jest tak ze względu na wyższą sprawiedliwość. Dusza nie bez powodu została skazana na taki los. Nie raz już o tym mówiliśmy, to i obszernie przypominać nie ma potrzeby. Wiecie, że dusza swoje części posiada, a każdej przysługuje jakieś dobro, o które dbać należy. Tak oto część rozumna, którą też rozsądkiem zwiemy, ma zadanie mądrości szukać i jak woźnica mądrze kierować pozostałymi częściami. Te zaś, jak dwa rumaki w rydwanie posłuchu okazać nie chcą. Jest więc popędliwość, która uczuciami targa i często przez ku wzniosłym czynom, i zbytnią dumę może wzbudzić. Ją trzeba za pomocą męstwa i stałości studzić. Drugi koń z kolei to pożądlivość, która ciągnie do zaspokojenia potrzeb cielesnych i uwolniona do hedonizmu zmierza. Ją należy okiełznać umiarkowaniem i



opanowaniem. Z wycuciem wszelako, bo i przesada w drugą stronę na dobre nie wychodzi. Gdy władzami rozumu nad porządkiem w zaprzęgu nie zapanujemy, dusza na złą drogę trafi i kary posmakuje. Wówczas, zamiast cieszyć się towarzystwem bogów wróci na ziemię i w jakimś kolejnym ciele zostanie uwięziona. A skoro chwilowo używamy porównania do więzienia, zauważmy jedno: jeżeli więzienie jest zasłużoną karą dla więźnia, to, jako takie, służy przecież dobru. I sprawiedliwości. Zatem samo w sobie nie jest złe. A może inaczej powiemy?

– No nie, Sokratesie, to mi się wydaje dobrą myślą.

– Więc pamiętając o tym, idźmy dalej. Gdy ciało choruje, to ma zło w sobie, a wtenczas samo wyraźnie domaga się pomocy i pragnie zdrowia, i do sztuki lekarskiej się odwołuje. Tymczasem dusza, sama z siebie ku mądrości nie zmierza, brak filozofii jej nie doskwiera, nie domaga się nijakiej pomocy. Obserwujemy ludzi, którzy zupełnie dobrze sobie radzą bez tego dobra, jakie mądrość przynosi. Co powiesz, Meneksenosie, czy nie to widzimy wokół siebie?

– Wypada potwierdzić, że jest tak, jak mówisz.

– Widzimy także, że ciało zmierza ku dobru, gdy jego naturalny stan ulega zmianie na gorszy. Jeśli więc dusze ludzkie nie lgną ku dobru płynącemu z mądrości, to by znaczyło, że ich naturalny stan musi być taki, że braku dobra nie odczuwa.

– Jak to rozumieć?

– Ujmijmy to inaczej: skoro dusza sama nie szuka mądrości, nie zmierza ku temu dobru, to znaczy, że go nie potrzebuje. Pojawia się pytanie, czy dlatego, że już je posiada. Co myślisz, Meneksenosie?

– Twierdziłeś, Sokratesie, że mądrość każdy ma w sobie, ukrytą i trzeba ją tylko wydobyć na świat, na przykład z pomocą takiego akuszera jak ty.

– Aj, aj, to takie tylko poetyckie gadanie. Zupełnie, jakby powiedzieć, że człowiek tężyznę fizyczną ma ukrytą w sobie, a odpowiednimi ćwiczeniami w zakładzie gimnastycznym, pod kierunkiem nauczyciela jest w stanie wydobyć ją na światło dzienne i ukazać światu, i świat z jej użyciem zmieniać. I zapewne można by to jeszcze jakoś zgrabniej w słowa ująć, co nie zmienia faktu, iż trzeba trudu, potu, dbałości o zdrowie i wytrwałości w tym wszystkim, aby siłę i sprawność zdobyć. Owszem, nie pochodzi ona z zewnątrz, chociaż zewnętrzne zabiegi mają tu nieliczne znaczenie, ale była pewną możliwością ciała delikatnego chłopca, który przybliżał je do sprawności młodzieńca, czy w końcu mężczyzny. Nie jest to wydobywanie czegoś ukrytego, ale zmienianie czegoś posiadanego w doskonalsze. Ponieważ zaś wszystko pochodzi ze swych przeciwieństw, to i tu musi ta zasada panować, gdyż lepszym może się coś stać tylko z czegoś wcześniej gorszego. Tak jest w przypadku ciała jak i duszy, nieprawdaż?

– Zdaje się, że tak.

– Wróćmy do pytania, któreśmy wcześniej postawili. Czy więc dusza nie zmierza sama ku dobru dlatego, że je posiada? Nie łatwo tu o odpowiedź, a może i nawet do żadnej nie dojdziemy, ale spróbujmy choć się przybliżyć do jakiejś prawdy na ten temat. Powiedz no mi, kiedy pojawia się pożądanie czegoś?

– Gdy tego potrzebujemy.

– To na pewno, ale czy tylko wtedy, wszak bywają rzeczy, które nie są nam potrzebne, a mimo to ich pragniemy.

– Zatem może pożądamy czegoś wtedy, gdy tego nie posiadamy, niezależnie, czy jest nam to potrzebne i użyteczne, czy nie.

– I to z pewnością, lecz czy człowiek, mając już złoto, nawet w dużej ilości, nawet wystarczającej do wszelkich potrzeb, czyż nie potrafi pragnąć więcej? Choćby już nie miał pomysłu, jak je spożytkować.

– No, jest tak, Sokratesie.

– Może więc być tak, że pożądanie nie musi rodzić się ani z braku danej rzeczy, ani z potrzeby. Zastanówmy się, co czujemy, gdy jesteśmy chorzy i pomocą będzie gorzkie lekarstwo? – W tej chwili na swojej sofie poruszył się Eryksimachos, myśląc, że Sokrates jego wywoła do odpowiedzi, jako lekarza. Dano mu jednak spokój i Meneksenos kontynuował:

– Wtedy, zdaje się, wcale go nie pożądamy, ale potrzebujemy.

– Słuszne poczyniłeś rozróżnienie, mój Meneksenosie. Zażywanie gorzkich ziół jest nieprzyjemne, ale jednak chcemy tego, by wyzdrowieć. Dlaczego?

– Bo zdrowie jest przyjemne i miłe.

– A posiadanie złota?

– I to się może komuś jawić przyjemnym.

– A zdobycie sławy?

– To tak samo, na Zeusa, może się podobać.

– Podsumujmy więc sobie. Uznaliśmy, że czasem ktoś czegoś pożąda, choć mu tego nie brakuje ani tego nie potrzebuje.

– Tak nam tu wychodzi.

– Wszelako musi istnieć jakiś inny powód.

– To na pewno, Sokratesie.

– Zobaczmy. Jeśli kto pożąda drugiej osoby albo bogactwa, albo sławy, albo zdrowia, choćby mu niczego z tych wymienionych rzeczy nie brakowało, to czym się kieruje, co mu dyktuje zwracać się ku tym przedmiotom pożądania.

– Mnie się zdaje, że już to powiedzieliśmy, mianowicie człowiek pragnie tego, co jest mu miłe, co mu się najbardziej podoba.

– I czy będzie to bogactwo, czy zdrowie, to bez różnicy?

– Gotowo, tak musi być.

– Zatem co to będzie, Meneksenosie, to, od czego zależy, jakie dobra ktoś kładzie na pierwszym miejscu?

– Jego własne upodobania.

– A skąd one pochodzą?

– O co pytasz?

– Skąd się to bierze, że jedni pożądamy bardziej szlachetnych rzeczy, a drudzy zgoła odmiennie?

– Bo każdy ma inne usposobienie, a z tego wynikają różnorakie rodzaje upodobań. Każdy ma też inną wiedzę o tym, co dobre jest, a co liचे; toteż przeróżne rzeczy za miłe uważa.

– I toś pięknie powiedział. I bardzo mi się ta myśl słuszną widzi. Dostrzegamy tedy, że jednych urzeka to, a innych tamto. Różne rzeczy im się podobają, różnorodne są im miłe, uchodzą za dobre w ich oczach i wywołują pożądanie. Jednak my, jako słudzy filozofii, wiemy, że najwyższym dobrem, prowadzącym do szczęścia, jest mądrość.

– Nie inaczej, przecież.

– Dlaczego więc dusze tak wielu ludzi nie zmierzają ku dobru płynącemu z mądrości? Dlaczego dusza sama z siebie tego nie pożąda?

– Z tego, cośmy przed chwilą wnioskowali, natura duszy musi być taka, że mądrość jej się nie podoba, a filozofowanie nie jest dla niej czymś miłym.

– Z natury swojej zatem dobrem najlepszym zgoła się nie interesuje. Dopiero ją trzeba przekonać albo i wręcz przymusić, by się tym zajęła i jeszcze odnalazła w zajęciu owym upodobanie. I my wszyscy ten wysiłek niemały wkładamy w to, aby duszę ku dobru obracać. A przecież milej i wygodniej byłoby innymi dobrami przyjemność sobie sprawiać i w innych miejscach szczęście odnajdywać. Na to więc wygląda, że kierując się rozumem, nakładamy sobie na barki ciężar filozofii, którego dusza żadnego z ludzi sama nie chce ani tym bardziej nie pożąda, ani za miłe nie uważa.

– Ależ Sokratesie, my przecież bez żadnego przymusu do mądrości się garniemy i dobra tego pragniemy, jak żadnego innego.

– Wierzę, że tak myślisz i że mówisz szczerze. Spytaj jednak sam siebie i odpowiedz sobie w duchu, czy na samym początku nie była konieczna jakaś przynęta, namowa, wsparcie bądź własna dyscyplina? Do niedawna sądziłem, że do mądrości garną się tacy, co ani nie są dobrzy, ani całkiem źli. Człowiek dobry i mądry już nie musi, a zły lub głupi i tak nie zechce. Dziś zaczynam powątpiewać, czym słuszenie przy tym trwał przez całe lata.

– Czy tymi słowami aby nie chcesz nam przykrości sprawić?

– Dalibóg, w żadnym razie. Pójdźmy wszelako dalej. Widzimy już, że dusza sama ku mądrości się nie kieruje. Nadal jednak nie rozstrzygnęliśmy, czy ją w sobie posiada. To, że jej nie pożąda to za mało, by na tej podstawie twierdzić, że już ją ma. Można nie mieć czegoś i wcale tego nie pragnąć. Wykazaliśmy również, że są dobra, których można pożądać mimo posiadania ich nawet w nadmiarze. Dlatego filozofowie mogą owo dobro wynikłe z mądrości stale przyjmować i przesyty nie odczuwać. Podobnie będzie patrząc na rzecz z drugiej strony. Z tego, że coś już posiadamy, nie wynika, że przestajemy tego pragnąć, wszak moglibyśmy tego pragnąć w większej ilości.

– Widać, Sokratesie, że tą drogą nigdzie nie dojdziemy.

– Słuszenie mówisz. Z tego bowiem, że czegoś się nie pragnie, nie wynika, że już się to ma ani że się tego nie ma.

– To na pewno.

– Dlatego powróćmy do upodobań drzemiących w naturze. Chyba zgodzimy się z tym, że jeśli coś nam się nie podoba, to nie tylko dalecy jesteśmy od pożądania owej rzeczy, ale wręcz będziemy starali się jej unikać i odsuwać od siebie.

– Pełna zgoda z tym, co rzekłeś.

– I jeśli będzie to w naszej mocy, to usuniemy tę rzecz niemiłą ze swojego życia, a w jej miejsce postawimy taką, która godna jest naszego pożądania.

– Tak sędzę, Sokratesie, jeśli tylko władni jesteśmy.

– To pewnie w ten sposób będziemy swoje życie urządzać, aby zmierzało do kształtu najbardziej nam odpowiadającego, takiego który nam się zdaje najbliższy doskonałości.

– Wydaje się, że tak byśmy chcieli.

– I uczynimy co w naszej mocy, aby rzeczy przykrych było jak najmniej, czyż nie?

– Na to wygląda.

– A przecież wszystko to robimy zgodnie z potrzebami ciała i duszy, zgodnie z ich naturą. Zatem również i dusza pragnie usunięcia tego, co jej akurat się nie podoba ani miłym się nie wydaje.

– Gotowo, tak być musi.

– Dusza zaś, jak mówiliśmy, pochodzi od bogów i z natury jest niezmienna. Jeżeli więc bogowie uczynili ją taką, że mądrość sama z siebie duszy nie pociąga, że jej się nie podoba, a przez to jest odrzucana, to nasuwa się jedna myśl.

– Boję się pytać, jakaż to.

– Otóż taka: bardziej prawdopodobne wydaje się to, iż dobro i mądrość są obce duszy, niż że skrywają się w niej od początku, czekając na akuszerą. Sędzę więc, że dusza ani dobra, o którym mowa nie pożąda, ani go nie posiada.

– Dlaczego jednak możliwe jest, że go też nie potrzebuje?

– Bo potrzeba rodzi się również z tego, że stan, w jakim się człowiek znajduje, uległ zmianie i teraz człowiek chce znaleźć się w takim, w którym byłoby mu dobrze. Tymczasem stan duszy nie jest niczym naruszany, bo jako z natury nieśmiertelna i niezniszczalna, dusza nie podlega zmianom w zakresie swego stanu. Skoro więc stan duszy się nie zmienia, to nie odczuwa ona potrzeby dobra. A ponieważ ustaliliśmy, że jest to stan bez tego dobra, jakie dać może tylko filozofia i mądrość, to wynika z tego, iż normalny stan duszy jest pogrążony w zлу. To dążenie do mądrości jest próbą naruszania tego stanu i działaniem na przekór duszy. Zaś zaniechanie filozofii szybko prowadzi do odzyskania naturalnego stanu.

– Czy nie istnieje, Sokratesie, coś, co duszę naprawia lub uzdrawia?

– Nie wydaje się, bo ona nie jest popsuta ani chora. Zło nie pojawiło się w niej w jakimś momencie, wyrządzając szkody, lecz od początku jej przysługuje z natury. Gdybyśmy jednak na chwilę przyjęli, że coś jak filozofia, duszę może odmienić i uczynić dobrą, to co by to znaczyło. Wedle mojego przekonania, ponownie by nam wyszło, że bez tego dusza jest zła albo złem jakimś obarczona.

Widzę wasze przygaszone twarze i mi też nie jest łatwo. Uprawiałem filozofię i wszystkich ludzi do tego namawiałem. Także swoich najmilszych uczniów i was, przyjaciele moi. Może lepiej bym zrobił, gdybym pozostał kamieniarzem, jak za młodu.

Atoli stało się inaczej. Zachęcałem, by do mądrości podążać. A przecież to tak, jakbym stwierdził, że każdy z nas ma duszę zawierającą jakieś zło.

– Pochmurne mi się widzą te wnioski, Sokratesie.

– Co prawdziwe, nie zawsze cieszy. Chyba każdy, sędzę, zgodzi się po tej rozprawie, z tym, co nam się tu przedstawia. Dusza od bogów pochodzi i do nich przejawia podobieństwo. Ale widać, że najbliższej boskiej doskonałości jest tylko w tym drugim świecie, gdzie bogowie i czyste idee przebywają. Tu zaś, na ziemi, dusza ma znikomy wgląd w świat idei, z trudem może cokolwiek z niego w pamięci przywołać. Żyje w świecie materii, który jest nietrwały, zmienny i niedoskonały. Który jest marną podobizną świata prawdziwych, wiecznych i niezmiennych bytów. Nasz świat nie pozwala duszy wykazać się dobrem. Tłumi ją i ogranicza. A może nawet sprawia, że musi być złą, aby sobie w nim radzić, zwłaszcza w najtrudniejszych okolicznościach. To, jaką się nam dusza przedstawia w tym świecie, dalekie jest od tego, jaką może być wśród bogów. Tu trzeba, jak mówiliśmy, pracy, nauki i ćwiczeń, aby duszę przybliżyć do dobra. Skoro zaś ku dobru ją prowadzimy, to znaczy, że jeszcze tam nie jest. Musi być wobec tego w miejscu zgoła innym. A jeśli chcemy, aby stała się dobra, to tak jakbyśmy przyznali, że obecnie jest zła.

Cóż – powiedział, widząc nasze niewesołe miny – wam się ten wywód chyba nie wydaje dostateczny. Wprawdzie wiele w nim ciągle miejsc niepewnych i o niejedno można w nim zahaczyć, gdyby kto chciał istotnie przejść te zagadnienia tak, jak należy, jednak uważam, że nie mało słusznych myśli tu powstało. Można te rzeczy, co duszy i ciała tyczą, przedstawić jeszcze z innej strony, ale czuję, że nieuchronnie byśmy około podobnych rozważań krążyli.

Po tych słowach, Epiganesie, Sokrates zamilkł i nieco już wyczerpany opadł na sofę. Rozgrzewała go ta dyskusja, ale gdy poczuł, że doszedł jej końca, to tak, jakby wrócił z innego świata, gdzie lekki był i lotny, w miejsce, gdzie zmęczone ciało przypomina o swym ciężarze. I nam też było jakoś ciężko, choć może z nieco innych powodów. Czuliśmy radość z jego uratowania. Z ulgą przyjęliśmy, że w trakcie rozmowy odzyskał dawną, sobie właściwą, postać. Aliści treść tej rozmowy gorzko nam smakowała. Nie wiem, jak tobie; co ty powiesz?

– Nie znajduję słów, Terpsionie. Pięknie odmalowałeś to, co się wydarzyło. I wiele myśli poruszyłeś we mnie, lecz czasu potrzeba, by to w sobie ułożyć i pogodzić z tym, co z wcześniejszych nauk Sokratesa dotąd przechowywałem. Nie martw się tym jednak, żeś mnie w zadumę wprowadził.

– Dobrze wiedzieć, bom nie chciał popsuć ci humoru.

– Wierz mi, wdzięczny jestem za naszą przechadzkę.

– Zobacz no, już rynek widać. Gdzieś tu jest Euklides.

– Zatem i Sokratesa zobaczę niebawem.